

Kartki z najnowszej historii ■ Kartki z najnowszej historii

# Leopolis semper fidelis

W dowodach jako miejsce urodzenia wpisywano: „Lwów (ZSRR)”. Oficjalnie całą akcję nazwano „repatriacją”, ale naprawdę nie był to powrót do ojczyzny, lecz wygnanie z miasta, które przez sześć wieków było polskie. Los tysięcy Lwówian poddanych wyrokowi Stalina stał się również w maju 1946 r. – 65 lat temu – udziałem Witolda Szolginia. Dzięki jego pasji „Tamten Lwów” jednak nie zaginął, utrwalony piórem i słowem mówionym. Zbigniew Herbert nazwał go „Strażnikiem Miasta i Grobów”.

Rocznik 1923, pokolenie Kolumbów. Na Łyczakowskiej 137 przeżył dwadzieścia trzy lata, z tego najpiękniejsze szesnaście w Polsce, która odzyskała niepodległość po okresie zaborów. Pozostałe siedem przetrwał we Lwowie pod trzema okupacjami: kolejno bolszewicką, hitlerowską i znów sowiecką. Potem nastąpiło „wojczyźnienie”; jak wielu Kresowian z rodzicami i bratem zamieszkał początkowo w Opolu. Krótki okres studiów spędził w Krakowie i od 1949 r. aż do nagłej śmierci przed piętnastu laty 30 czerwca 1996 r. mieszkał w Warszawie. „Warszawa to nie Lwów; jesień – ale inna; Ojczyzna – ale nie taka...” (Herbert)

Co ciekawe, nie pochodził z rodziny zasiedziałej we Lwowie; ojciec przywędrował ze Skalata na samych kresach II Rzeczypospolitej, mama z podlwowskich Winnik. Ślub wzięli u św. Antoniego na Łyczakowie i w tej dzielnicy się zakorzenili; rodzinny dom z żelaznym lwem na bramie był dla młodego Tolka miejscem najgłębszego osadzenia w lwowskości, najdawniejszym wspomnieniem dziecka i stałym punktem odniesienia w całym dorosłym życiu. W łyczakowskich szkołach pobrał solidne nauki, a „za drugiego Sowietą” w 1944 r. rozpoczął studia jeszcze u polskich profesorów na Wydziale Architektury Politechniki Lwowskiej; dokończył je już na Politechnice Krakowskiej.

„Leopolis semper fidelis” (Lwów zawsze wierny) – herbowa dewiza miasta, w którym król Jan Kazimierz w 1656 r. złożył śluby przed cudownym wizerunkiem Matki Bożej Łaskawej w katedrze, towarzyszyła Witoldowi Szolginia w całym życiu. Bezgraniczna lwowska wierność odnosiła się nie tylko do jego niezwykle silnego przywiązania do miejsca urodzenia i młodości, ale także przejawiała się w życiu rodzinnym i zawodowym. Do przyszłej żony warszawianki Wandy w ciągu 2 lat poprzedzających ślub napisał 150 listów (!), w większości dowcipnie ilustrowanych; przeżyli ze sobą bez mała pół wieku, tworząc życzliwy, otwarty dom i wyjątkowo zgraną rodzinę. W swoim zawodzie Witold Szolginia przepracował ponad 40 lat, prawie nie zmieniając miejsca – zmieniały się tylko nazwy instytucji. Na emeryturę odchodził jako doc. dr hab. w Instytucie Gospodarki Przestrzennej i Komunalnej. Był m.in. autorem pierwszej polskiej encyklopedii „Architektura i Budownictwo”, a w dorobku naukowym miał też publikacje poświęcone rodzinnemu miastu.

Z powodzeniem uprawiał działalność popularnonaukową, zajmując się przede wszystkim upowszechnianiem wiedzy dotyczącej urbanistyki, architektury i budownictwa w prasie i w radiu, gdzie wygłosił ponad 300 pogadanek. Wydał kilkanaście ciekawych książek i książeczek przeznaczonych dla



Witold Szolginia (1923–1996).

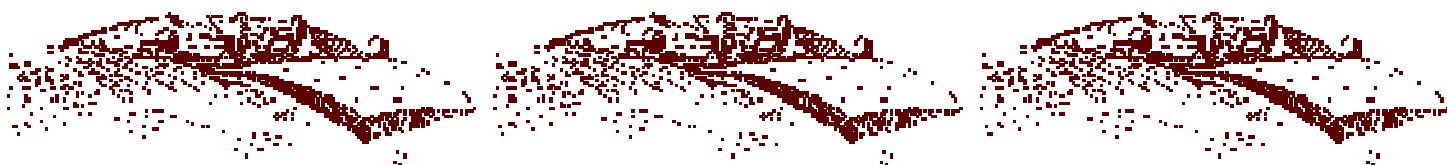
różnych odbiorców, w tym wiele dla dzieci, napisał setki artykułów w czasopiśmie popularyzującym naukę i technikę.

Od szkolnych lat, kiedy wyjeżdżał ze Lwowa na wakacje w Bieszczady do Sianek, był zapalonym turystą. Na górskich szlakach najchętniej spędzał letnie urlopy, zdobył Górską Odznakę Turystyczną PTTK „Za wytrwałość”.

Różne zainteresowania w miarę biegu życia schodziły na dalszy plan, ustępując niemal zupełnie najświętszej misji, jaką było dla niego odkrywanie lwowskiej Atlantydy, utraconych „korzeni i popiołów”, by przekazać swą rozległą wiedzę oraz najwierniejszą miłość do miasta pod Wysokim Zamkiem tym pokoleniom Polaków, którzy polskiego Lwowa już nie znali; jako jeden z nich, dzięki Witoldowi Szolginia miałem szczęście poznać „Tamten Lwów” – zapisany na kartach naszej historii – od najlepszego nauczyciela, bo arcylwowianina.

Wrażliwość językowa, wyczuwanie brzmienia słowa, jego kształt i znaczenie, wyniesione jeszcze z dobrej przedwojennej szkoły, spowodowały, że jego lwowska twórczość zaczęła się od gwary używanej na rodzinnej ulicy. W połowie lat 50. XX w. z tęsknoty za utraconą domową ojczyzną zaczął pisać wiersze w bałaku batiarów z Łyczakowa, który doskonale zapamiętał. Z czasem powstał cykl 44 utworów pt. „Krajobrazy syrdeczny” przyozdobionych rysunkami autora i krążących wśród przyjaciół i kolegów ze Lwowa. Jeden z wdzięcznych czytelników, Waldemar Markowski, przedsiębiorca budowlany z Bytomia, wydał je w 1986 r. własnym sumptem poza zasięgiem PRL-owskiej cenzury z podpisem „Tolu z Łyczakowa”.

Najdłuższy wiersz (ponad 60 zwrotek) Witold Szolginia poświęcił właśnie mowie rodzinnej, przez długie lata układał też słownik lwowskiego bałaku. Liczący około 700 terminów

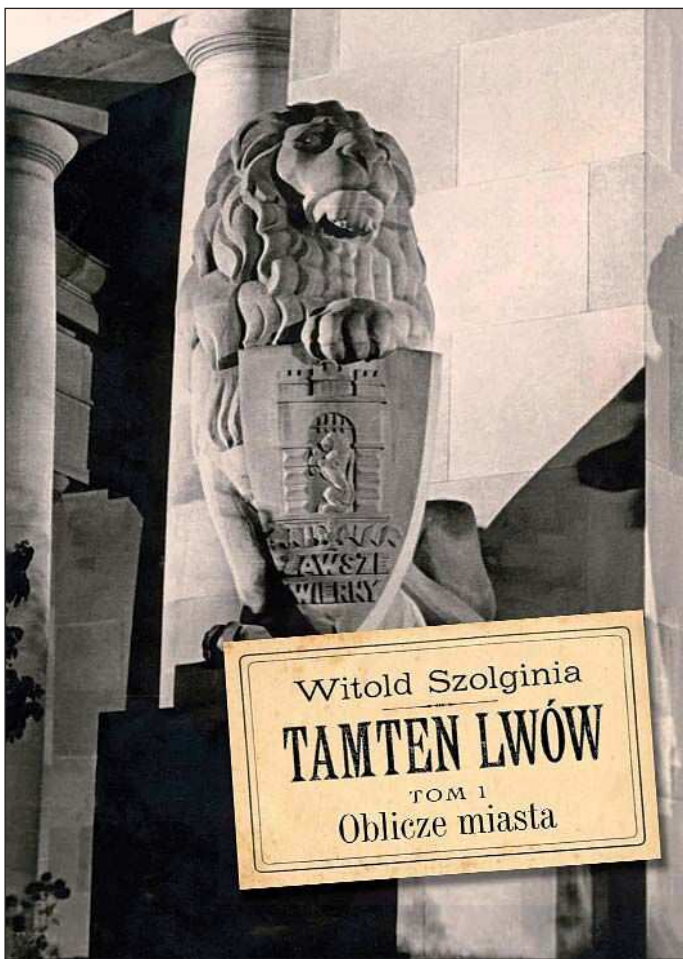


## Kartki z najnowszej historii ■ Kartki z najnowszej historii

gwarowych zbiorów przekazał prof. Zofii Kurzowej, która w swej pracy o przedwojennej polszczyźnie Lwowa i kresów południowo-wschodnich cytowała go aż 230 razy!

Dzięki zaproszeniu przyjaciela, kompozytora Andrzeja Nikodemowicza mieszkającego wówczas w rodzinnej kamienicy we Lwowie, w 1968 r. „Tolu z Łyczakowa” po raz pierwszy po wojnie wybrał się z żoną do rodzinnego miasta. Krótki pobyt po 22 latach od exodusu polskiej ludności Lwowa i dotknięcie nigdy nie zagojonej rany pamięci przyniosło powrót do nieistniejącego świata szczęśliwych lat dzieciństwa i młodości. W ciągu następnego roku Witold Szolginia stworzył niezwykle piękny na cześć swojej utraconej ojczyzny – zbeletryzowane wspomnienia obejmujące okres 1929-1939, nie ustępujące pod względem literackim twórczości Kornela Makuszyńskiego.

Nazwa Lwowa – trudno w to dziś uwierzyć! – była wtedy zakazana, więc aluzyjnie przypominał je tylko tytułowy lew. Dopiero piąte wydawnictwo, Instytut Wydawniczy PAX, odważyło się przyjąć książkę do druku. „Dom pod żelaznym lwem” ukazał się w 1971 r. na fali krótkotrwałej liberalizacji cenzury „za wczesnego Gierka”, choć oczywiście bez tak niewygodnych dla władców PRL fragmentów jak wkroczenie do miasta Sowieci we wrześniu 1939 r. Cały 10-tysięczny nakład rozszedł się błyskawicznie. „To była w latach milczenia Lwowska biblia” – napisał potem, już w III RP, Jerzy Janicki.



Autor wspomnień przez lata odcinał kupony od swej książki w postaci listów, telefonów i darów od lwowian rozsiadanych po całym świecie. Jego miniaturowa pracownia zaczęła tracić charakter miejsca pracy, powoli stając się ogromnym lwowskim muzeum, które opanowało całe mieszkanie Szolginia. Pan Witold został ambasadorem Lwowa na wygnaniu; u niego „w katakumbach” zbierała się lwowska hebra – grono tworzące nieformalne „Koło Literacko-Artystyczne”. Jeden z gości, aktor i piosenkarz Jerzy Michotek, napisał specjalnie na cześć gospodarza i odśpiewał przy gitarze balladę pt. „Łyczakowski Ślipunder” (z racji używanych okularów z grubymi szklami). Wśród osób, które go darzyły przyjaźnią, byli m.in. Jan Parandowski i słynny Tońcio z Wesolej Lwowskiej Fali.

W końcu PRL-u otworzyły się zupełnie nowe możliwości działania na rzecz „Tamtego Lwowa”. Nadszedł czas odkrywania „białych plam” w najnowszej historii Polski, a jedną z nich były utracone Kresy II RP; mój reportaż ze Lwowa, który nie miał szans na publikację nawet w okresie karnawału „Solidarności”, po 7 latach ukazał się bez skreśleń. Witold Szolginia należał do założycieli warszawskiego Towarzystwa Miłośników Lwowa, był organizatorem wielu prelekcji na tematy lwowskie, a od 1989 r. aż do śmierci przez 7 lat w III Programie Polskiego Radia w każdą niedzielę głosił pod hasłem „Krajobrazy serdeczne” – z wyraźnym łyczakowskim zaśpiewem – popularne gawędy o Lwowie. Swą pamięć – „skarb tułaczy” ofiarował wszystkim, dla których drogą było wspomnienie o Mieście Zawsze Wiernym.

Właśnie z cyklu radiowych opowieści, których obecnie można słuchać – przeplatanych piosenkami Mariana Hemara – na internetowej stronie Polskiego Radia, zrodził się pomysł napisania „Tamtego Lwowa”, zrazu obliczanego na dwa tomy, a ostatecznie powiększonego do ośmioksięgu. Nazywany przez kolegów „lwowskim encyklopedystą”, Witold Szolginia opisał tam kolejno oblicze rodzinnego miasta, jego ulice i place, świątynie, gmachy i pomniki, mieszkańców, miejskie życie i różnorodność, świętych patronów i arcyłowian, do których sam został jakże słusznie zaliczony. Warto dodać, że już w 1981 r. „za stałe utrwalanie pamięci o Lwowie w słowie i piśmie” otrzymał Krzyż Obrony Lwowa. Nie dane mu było powrócić do ukochanego Miasta, ale nie zabrakło grudki ziemi z Cmentarza Orłąt na warszawskich Powązkach...

„Póki my żyjemy, to żyje Lwów” – mawiał, ale nie do końca miał rację. Nieubłaganie odchodzą do wieczności ostatni wygnańcy z polskiego Lwowa, całkiem niedawno zmarła w Anglii legendarna Włada Majewska. „Tamten Lwów” jednak żyje, bo pozostało świadectwo, wciąż na nowo odkrywane przez następne pokolenia miłośników naszych Kresów. Wystarczy zajrzeć do stołecznego Domu Spotkań z Historią na spotkania kresowe, które od kilku lat prowadzi Tomasz Kuba Kozłowski, by stwierdzić, że mamy do czynienia z falą rosnącego zainteresowania. Świadczy o tym także fakt, że Jacek Tokarski – właściciel krakowskiego wydawnictwa Wysoki Zamek (nazwa też symboliczna) rozpoczął nową edycję ośmioksięgu Witolda Szolginia, dzięki czemu „Tamten Lwów” trafi do „późnych wnuków” wędrujących śladami swych dziadków. „Tej książki nie da się czytać bez łez” – napisał jeden z internautów, zwracając uwagę, że należy odkłamywać historię, zwłaszcza że dzisiejszy Lwów jest rządzony przez ukraińskich nacjonalistów.

**Andrzej W. Kaczorowski**  
Fot. Krzysztof Szolginia i archiwum

